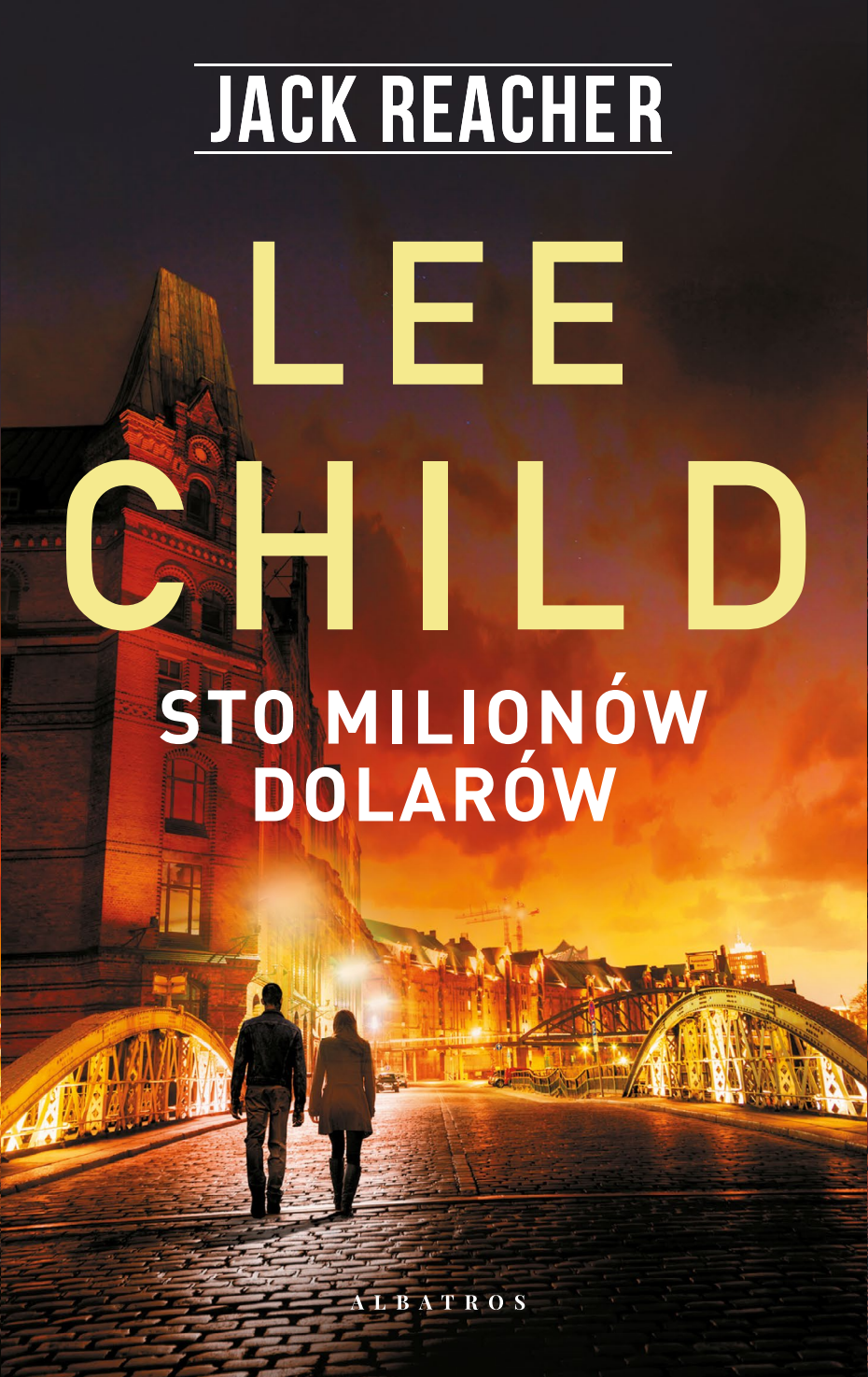




JACK REACHER

**LEE
CHILD**

**STO MILIONÓW
DOLARÓW**

ALBATROS

Tytuł oryginału:
NIGHT SCHOOL

Copyright © Lee Child 2016
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Jan Kraśko 2017

Redakcja: Grażyna Dziedzic

Zdjęcia na okładce: Johnny Ring Photography (*postać mężczyzny*),
© Stephen Mulcahey/Arcangel Images (*postać kobiety*),
Christian Mueller/Shutterstock.com (*tło*)

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Stephen Mulcahey

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



JACK REACHER

Imię i nazwisko: Jack Reacher

Narodowość: amerykańska

Urodzony: 29 października 1960 roku w Berlinie

Charakterystyczne dane: 195 cm, 99–110 kg, 127 cm w klatce piersiowej

Kolor włosów: ciemny blond

Kolor oczu: niebieski

Ubranie: kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie: szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie, Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby: 13 lat w Żandarmerii Armii USA, w 1990 roku zdegradowany ze stopnia majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w roku 1997

Odznaczenia służbowe: Srebrna Gwiazda, Medal za Wzorową Służbę, Medal Żołnierza, Legia Zastugi, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

Ostatni adres: nieznany

Czego nie ma: prawa jazdy, dokumentu ze zdjęciem, osób na utrzymaniu

1

Rano dali mu medal, a po południu odesłali go z powrotem do szkoły. Dostał Legię Zasługi. Już drugą. Elegancki drobiazg w białej emalii, z purpurowoczerwoną tasiemką. Według Rozporządzenia Armii Stanów Zjednoczonych numer 600-8-22, medal ten jest przyznawany za wyjątkowe zasługi tym, którzy pełnią odpowiedzialne funkcje podczas wojny i pokoju. Cóż, formalnie rzecz biorąc, on tę poprzeczkę przeskoczył. Ale doszedł do wniosku, że odznaczono go z tego samego powodu co przedtem. Był to symbol swojego rodzaju transakcji. Umowy z cyklu: weź tę błyskotkę i ani słowa o tym, o co cię prosiliśmy. Tyle że on zrobiłby to i bez proszenia. Zresztą nie było się czym chwalić. Ot, Bałkany, trochę policyjnej roboty, poszukiwanie dwóch miejscowych koleś, którzy mieli co ukrywać. Zidentyfikował ich, znalazł, odwiedził i wpakował im po dwie kule w głowę. Wszystko w ramach utrwalania procesu pokojowego. Zabieg okazał się skuteczny, bo w regionie trochę się uspokoiło. Koszt? Dwa tygodnie życia. I cztery naboje. Nic wielkiego.

Rozporządzenie numer 600-8-22 było zaskakująco niejasne co do sposobu wręczania medali. Mówiło jedynie, że ma się to odbywać ze stosowną ceremonią i w stosownie oficjalnej atmosferze. Co zwykle znaczyło, że uroczystość organizowano w dużej sali ze złożonymi meblami i pękiem flag. I że medal wręczał oficer starszy stopniem od nagradzanego. Reacher był majorem z dwunastoletnim stażem, ale ponieważ tego samego ranka medale dostali także inni, w tym trzech pułkowników i dwóch jednogwiazdkowych generałów, na pokład zawitała

gruba ryba z Pentagonu, trzygwiazdkowy generał. Reacher poznał go przed wielu laty w Fort Myer, gdzie facet dowodził batalionem CID, oddziałem dochodzeniówki kryminalnej Sił Lądowych USA. Łebski gość, w każdym razie na tyle, żeby wykoncypować, dlaczego major żandarmerii wojskowej dostaje Legię Zasługi. Miał to coś w oczach, to spojrzenie. Na wpół drwiące, na wpół poważne. Bierz błyskotkę i morda w kubeł. Może kiedyś robił to samo. Pewnie tak, bo na kurtce galowego munduru miał całą tęczę baretek. W tym dwie Legie.

Stosowną ceremonię w stosownie oficjalnej atmosferze zorganizowano w Fort Belvoir w Wirginii. Blisko Pentagonu, a więc wygodnie dla trzygwiazdkowej szczy. Dla Reachera też, bo miał stamtąd blisko do Rock Creek, gdzie zabijał czas od powrotu z misji. Mniej wygodnie dla oficerów, którzy przylecieli z Niemiec.

Najpierw było trochę kręcenia się po sali, trochę gadania o niczym i ściskania rąk, a potem wszyscy ucichli, stanęli na baczność w rzędzie i zaczęło się: wymieniano honory, generał przypinał lub zawieszał medale, potem znowu pokręcili się trochę po sali, pogadali o niczym i pościskali sobie ręce. Reacher przesunął się powoli w stronę drzwi, chcąc jak najszybciej wyjść, ale nie zdążył, bo dopadł go ten trzygwiazdkowy. Ucisnął mu rękę, chwycił za łokieć i powiedział:

– Podobno ma pan nowe rozkazy, majorze.

– Nic o tym nie wiem – odparł Reacher. – Przynajmniej na razie. Gdzie pan to słyszał?

– Od mojego sierżanta. Oni tam wszyscy plotkują. Podoficerowie naszej armii to najskuteczniejsza poczta pantoflowa na świecie. Zawsze mnie to zdumiewa.

– I niby gdzie mnie wysyłają?

– Dokładnie nie wiadomo. Ale gdzieś niedaleko. W każdym razie da się spokojnie dojechać. Ci z parku maszynowego musieli dostać zapotrzebowanie.

– Kiedy mnie powiadomią?

– Dzisiaj.

– Dziękuję. Dobrze wiedzieć.

Generał puścił jego łokieć i Reacher ruszył dalej, do drzwi, a potem wyszedł na korytarz, gdzie gwałtownie wyhamował

przed nim sierżant sztabowy. Wyhamował i zasalutował zdyszany jak po długim biegu. Pewnie wysłano go z tej części fortu, gdzie nic nikomu nie wręczano, tylko uczciwie pracowano.

– Panie majorze – wysapał – generał Garber gratuluje medalu i prosi, żeby wpadł pan do niego, kiedy tylko będzie pan mógł.

– Dokąd mnie wysyłają, sierżancie? – spytał Reacher.

– Gdzieś niedaleko – odparł sztabowiec. – Ale „niedaleko” daje sporo możliwości.

• • •

Garber stacjonował w Pentagonie, więc Reacher zabrał się z dwoma kapitanami, którzy mieszkali w Belvoir, ale jechali na południową służbę w kręgu B. Generał miał własny pokój – dwa kręgi w głąb, dwa piętra w górę – strzeżony przez sierżanta przy biurku pod drzwiami. Który wstał, wprowadził Reachera do gabinetu i zaanonsował jak staroświecki kamerdyner ze staroświeckiego filmu. Potem zrobił mu przejście i chciał wrócić na posterunek, ale Garber go zatrzymał.

– Niech pan zostanie, sierżancie.

I sierżant został. Zrobił „spocznij”, rozstawił nogi na błyszczącym linoleum i znieruchomiał.

Świadek.

– Nie pan usiądzie, majorze.

Reacher usiadł na krześle dla gości, takim z nogami z rurek, które ugięło się pod nim i odchyliło do tyłu, jakby powiał silny wiatr.

– Ma pan nowe rozkazy – oznajmił generał.

– Co i gdzie?

– Wraca pan do szkoły.

Reacher milczał.

– Rozczarowany?

Aha, stąd świadek. To nie była prywatna rozmowa. Sytuacja wymagała wzorowego zachowania.

– Panie generale, chętnie pojedę wszędzie tam, dokąd wyśle mnie armia.

– Widzę, że nie jest pan zadowolony. A powinien pan się

cieszyć. Trzeba stale się dokształcać, to wspaniała rzecz.

– Wracam do... jakiej szkoły?

– Szczegółowe rozkazy otrzyma pan u siebie. Powinny już czekać.

– Długo mnie nie będzie?

– To zależy od tego, jak bardzo będzie się pan starał. Przypuszczam, że tyle, ile będzie trzeba.

• • •

Wsiadł do autobusu na parkingu przed Pentagonem i wysiadł dwa przystanki dalej, w kwaterze głównej w Rock Creek. Wdrapał się na wzgórze i poszedł prosto do biura. Na środku biurka leżała cienka teczka, na której widniało jego nazwisko, jakieś cyfry i nazwa kursu: *Wpływ najnowszych innowacji kryminalistycznych na współpracę międzyagencyjną*. W środku było kilka kartek – prosto z kserokopiarki, bo jeszcze ciepłych – w tym oficjalny rozkaz tymczasowego oddelegowania do czegoś, co wyglądało na ośrodek szkoleniowy wydzierżawiony w kompleksie biur w McLean w Wirginii. Miał się tam stawić przed siedemnastą. Ubranie? Cywilne. Kwatery? Na miejscu. Przydzielono mu również samochód. Bez szofera.

Włożył teczkę pod pachę i wyszedł. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nikt się nim nie interesował. Już nie. Zawiódł. Wszystkich rozczarował. Poczta pantoflowa wstrzymała oddech, a on dostał skierowanie na jakiś bzdurny kurs o bzdurnej nazwie. Przestał istnieć. Stał się nikim. Wypadł z obiegu. Co z oczu, to z serca. Jak futbolista przeniesiony na listę kontuzjowanych. Za miesiąc ktoś może sobie o nim przypomni, nagle i tylko na sekundę, i będzie się zastanawiał, kiedy – jeśli w ogóle – ten Reacher wróci. A potem równie szybko o nim zapomni.

Siedzący przy biurku sierżant zerknął na niego i znudzony odwrócił wzrok.

• • •

Reacher miał niewiele cywilnych ubrań, a niektóre nie były tak naprawdę cywilne. Na przykład spodnie miały około trzydziestu lat i stanowiły część munduru polowego Korpusu

Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Po prostu znalazł gościa, a ten kolejnego gościa pracującego w magazynie wojskowym, gdzie leżała podobno wielka beła starych ubrań, które trafiły tam przez pomyłkę za prezydentury Lyndona B. Johnsona i z których nigdy się nie rozliczono. Pointa tej opowieści miała być chyba taka, że stare wojskowe portki wyglądają jak nowiutkie spodnie od Ralpha Laurena. Nie, żeby Reacherowi zależało na jakości spodni. Ale pięć dolców za parę robiło wrażenie. Poza tym świetnie leżały. Nienoszone, sztywno złożone, może trochę zalatujące pleśnią, mogły spokojnie wytrzymać kolejne trzydzieści lat. Co najmniej.

Cywilne podkoszulki też były wojskowe, stare, wyblakłe i sprane. Tylko jasnobrązowa kurtka była stuprocentowo cywilna. Stara kurtka Levi'sa, pod każdym względem autentyczna, łącznie z czerwoną chorągiewką, tyle że uszyta w seulskiej piwnicy przez matkę jego dawnej dziewczyny.

Przebrał się, spakował resztę rzeczy do worka, wziął mundur w pokrowcu i wyniósł to wszystko przed dom, gdzie czekał czarny chevrolet caprice. Podejrzywał, że jest to stary wóz patrolowy żandarmerii wojskowej, teraz już na emeryturze, z odklejonymi napisami i gumowymi korkami w dziurach po antenach i dyskotece na dachu. Kluczyk tkwił w stacyjce. Siedzenie kierowcy było wytarte. Ale silnik odpalił za pierwszym razem, biegi wchodziły bez zarzutu, a hamulce hamowały. Reacher zawrócił, powoli, jak potężnym pancernikiem, opuścił szyby, włączył radio i pojechał do McLean.

• • •

Kompleks biur wyglądał jak kompleks biur, bo wszystkie wyglądają tak samo: wszędzie brąz i beż, dyskretne tabliczki z dyskretnymi napisami, ładnie utrzymane trawniki, tu kilka świerczków, tam kilka tuj czy sosenek i rozrzucone po pustym terenie grupki dwóch, trzech niskich budynków służące tym, którzy ukrywają się za przyciemnionymi oknami gabinetów i pod skromnymi, nierzucającymi się w oczy nazwami. Reacher znalazł właściwy numer ulicy i skręcił tuż za wysoką do kolan tabliczką z napisem ROZWIĄZANIA EDUKACYJNE INC.,

wykonanym czcionką tak prostą, że aż dziecinną.

Przed drzwiami parkowały dwa inne chevrolety caprice. Jeden czarny, drugi granatowy, obydwie nowsze niż jego. I bardziej cywilne, bo bez gumowych korków i pomalowanych pędzlem drzwi. Nie ulegało wątpliwości, że są to samochody rządowe, błyszczące i czyste, oba miały o dwie anteny więcej, niż potrzeba by było do słuchania transmisji z meczu baseballowego. Z tym że anteny się różniły. Ten czarny miał krótkie i ostre jak igły, a granatowy – długie i wiotkie jak witki. Inne konfiguracje. Inne fale radiowe. Dwie różne instytucje.

„Współpraca międzyagencyjna”.

Reacher zaparkował obok nich i zostawił bagaż w samochodzie. Drzwi, pusty korytarz z wytrzymałą szarą wykładziną i zielonymi iglakami w donicach pod ścianą. Drzwi z napisem BIURO. A nieco dalej kolejne, z napisem KLASA. I te otworzył. W środku zobaczył zieloną tablicę i dwadzieścia ławek w rzędach po pięć, każda z półeczką z prawej strony na papier i ołówek.

W dwóch z nich siedziało dwóch mężczyzn w garniturach, mniej więcej w jego wieku. Jeden w czarnym, drugi w granatowym. Tak jak samochody. Obaj patrzyli prosto przed siebie, jakby rozmawiali i nagle zabrakło im tematów. Ten w czarnym był bladej i miał ciemne włosy, niebezpiecznie długie jak na kogoś, kto jeździ rządowym samochodem. Włosy tego w granatowym, też bladej, były krótko przycięte. Jak u astronauty. Zresztą wyglądał na astronautę albo gimnastyka, który niedawno zakończył karierę.

Kiedy Reacher wszedł do klasy, spojrzeli na niego i ten ciemnowłosy spytał:

- Kim pan jest?
- Zależy od tego, kim jest pan – odparł Reacher.
- Pańska tożsamość zależy od mojej?
- Tak, bo albo się wam przedstawię, albo nie. To wasze samochody?
- To ważne?
- Dają do myślenia.
- W jakim sensie?
- W takim, że się różnią.

– Tak, nasze. I tak, jest pan w klasie z dwoma przedstawicielami dwóch różnych agencji rządowych. Mają nas uczyć współpracy. Dogadywania się z innymi organizacjami. Niech pan tylko nie mówi, że reprezentuje pan trzecią.

– Owszem, żandarmerię wojskową – potwierdził Reacher.
– Ale spokojnie. Jestem przekonany, że o piątej zaroi się tu od bardzo kulturalnych ludzi. Będziecie mogli mnie olać i zadawać się z nimi.

Ten krótko obcięty podniósł wzrok.

– Nie, myślę, że to już wszyscy. Cała ekipa. Przygotowali tylko trzy pokoje. Rozejrzałem się.

– Rządowa szkółka z trzema uczniami? – zdziwił się Reacher. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Może to my mamy kogoś uczyć. Może uczniowie mieszkają gdzie indziej.

– Tak – mruknął ten ciemnowłosey. – To miałoby więcej sensu.

Reacherowi przypomniła się rozmowa z Garberem.

– Powiedziano mi, że trzeba się stale doskonalić. Odniosłem silne wrażenie, że to mnie będą uczyć. Potem zasugerowano mi, że im ciężiej będę pracował, tym szybciej skończę. Dlatego nie sądzę, żebyśmy mieli kogoś szkolić. Dostaliście podobne rozkazy?

– Mniej więcej – mruknął krótko obcięty.

Ten drugi nie odpowiedział, nie licząc enigmatycznego wzruszenia ramionami, które mogło sugerować, że nawet komuś obdarzonemu bujną wyobraźnią trudno by było zinterpretować jego rozkazy jako zapierające dech w piersi.

– Casey Waterman, FBI – przedstawił się ten z krótkimi włosami.

– Jack Reacher, Armia Stanów Zjednoczonych.

– John White, CIA – poszedł w ich ślady długowłosey.

Uścisnęli sobie ręce i zapadła cisza taka jak wtedy, kiedy Reacher otworzył drzwi. Ze wszystkiego się wystrzelali i zabrakło im tematów. Reacher usiadł w ławce na końcu klasy.

Waterman siedział na lewo od niego, White na prawo, obaj przed nim. Waterman nieruchomo jak kamień. Leczący ani na chwilę nie tracił czujności. Zabijał czas i oszczędzał energię.

Widać było, że robi to nie pierwszy raz. Doświadczony agent, nie jakiś tam świeżak. Tak jak White, z tym że White był zupełnie inny. Ani przez chwilę nie potrafił usiedzieć na miejscu. Ciągłe wiercił się i wił, wykręcał sobie ręce, mrużył oczy, gapiąc się to w dal, to tuż przed siebie, robiąc dziwne miny, zerkając raz w lewo, raz w prawo, jakby dręczyły go myśli, których za nic nie mógł odpędzić. Analityk, domyślił się Reacher. Facet po latach pracy w świecie niewiarygodnych danych i podwójnych, potrójnych, a nawet poczwórnych mistyfikacji. Miał prawo robić wrażenie zdenerwowanego.

Nikt nic nie mówił.

Po pięciu minutach Reacher przerwał ciszę.

– Czy my się kiedykolwiek nie dogadywaliśmy? To znaczy FBI, CIA i wojsko. Nic mi o tym nie wiadomo. A wam?

– Myślę, że wyciąga pan niewłaściwe wnioski – odparł Waterman. – Tu nie chodzi o przeszłość. Tu chodzi o przyszłość. Oni wiedzą, że już współpracujemy. Dzięki czemu mogą nas wykorzystywać. Spójrzmy na pierwszą część nazwy tego kursu. Innowacje i współpraca. A skoro innowacje, to znaczy, że chcą oszczędzać. Że będziemy współpracowali jeszcze ściślej. Na przykład dzieląc się laboratoriami. Albo zbudują dla nas nowy ośrodek. Tak myślę. Pokażą nam, jak wprowadzić to w czyn.

– Pogięło ich czy co? – mruknął Reacher. – Laboratoria, harmonogramy... Ja się na tym nie znam. Jestem ostatnią osobą, która się do tego nadaje.

– Tak jak ja – powiedział Waterman. – Szczerze mówiąc, nie jest to mój najsilniejszy atut.

– Gorzej niż pogięło. To kolosalna strata czasu. Dzieje się dużo ważniejszych rzeczy – dodał White. Wierząc się i wijąc, wykręcając ręce.

– Oderwali pana od pracy? – spytał Reacher. – Siedział pan nad czymś?

– Właściwie to nie. Miałem przejść na inne stanowisko. Akurat zamknąłem pewną sprawę. Myślałem, że z powodzeniem, ale w nagrodę trafiłem tutaj.

– Trochę optymizmu, kolego. Tu może się pan odprężyć. Wyluzować. Pograć w golfa. Nie musi się pan niczego uczyć. Laboratoria? CIA ma je gdzieś. Rzadko kiedy z nich korzysta.

– Właśnie powinienem coś zaczynać, będę miał trzy miesiące do tyłu.

– Ale co zaczynać?

– Nie mogę powiedzieć – odparł White.

– Komu to przydzielili?

– Tego też nie mogę powiedzieć.

– Przynajmniej dobry jest? – dążył dalej Reacher.

– Nie za bardzo. Może coś przegapić. Tam wszystko się liczy. Niczego nie da się przewidzieć.

– Przewidzieć w czym?

– To tajne.

– Ale to coś ważnego, tak?

– Dużo ważniejszego niż to.

– Jaką sprawę pan zamknął?

– To też tajne.

– Podpada pod kategorię wyjątkowych zasług dla Stanów Zjednoczonych na odpowiedzialnym stanowisku podczas wojny i pokoju...?

– Że co? – nie zrozumiał White.

– ...albo coś w tym rodzaju?

– Tak, powiedzmy.

– I w nagrodę wysłali pana tutaj.

– Mnie też – wtrącił Waterman. – Jedziemy na tym samym wózku. Mógłbym powtórzyć to samo, słowo w słowo. Spodziewałem się awansu. Ale na pewno nie takiego.

– Awansu za co? – spytał Reacher. – Po czym?

– Zamknęliśmy dużą sprawę.

– Jaką?

– Bardzo starą. Polowaliśmy na kogoś. I udało się, po tylu latach.

– Czyli przysłużyliście się krajowi, tak?

– Co pan z tymi zasługami?! – zniecierpliwił się Waterman.

– Próbuję was porównać. I stwierdzam, że prawie niczym się nie różnicie. Jesteście bardzo dobrymi agentami, już starszymi, lojalnymi i godnymi zaufania, dlatego powierzają wam odpowiedzialne zadania. Powierzają i nagradzają zsyłką do durnej szkółki. Pytanie: dlaczego? Nasuwają się dwie odpowiedzi.

- Jakie?
- Może to, co robiliście, było kłopotliwe dla pewnych kręgów. Może będą się tego wypierać. Skoro tak, trzeba was ukryć. Co z oczu, to z serca.

White pokręcił głową.

- Nie, oddźwięk był jak najbardziej pozytywny. I będzie taki przez wiele lat. Dostałem medal, w tajemnicy. I osobisty list pochwalny od sekretarza stanu. Zresztą nie muszą niczemu zaprzeczać, bo sprawa była ściśle tajna. Nikt nic nie wiedział.

Reacher spojrział na Watermana.

- A pańskie polowanie? Nie narobiło nikomu kłopotów?
- Waterman pokręcił głową.
- Mówił pan coś o dwóch odpowiedziach. Jaka jest druga?
 - spytał.
 - Taka, że to nie jest szkółka.
 - Tylko co?
 - Miejsce, gdzie wysyłają dobrych agentów po dopięciu dużej sprawy – odparł Reacher.

Waterman zmarszczył brwi. Jakby go nagle olśniło.

- Z panem jest tak samo? Na pewno. Czemu miałyby być inaczej? Dlaczego mieliby tu ściągać dwóch zasłużonych, a trzeciego bez zasług?

Reacher kiwnął głową.

- Dokładnie tak samo. Niedawno wróciłem z misji. Udał się cholera, to na pewno. Dziś rano dali mi medal. Na tasie, taki na szyję. Za dobrą robotę. Czystą i schludną. Nie mieli się czego wstydzić.

- Co to była za robota? – spytał Waterman.

- Ściśle tajna. Ale według dość wiarygodnych źródeł, mogło chodzić o wtargnięcie do pewnego domu i wpakowanie dwóch kul w głowę jego właścicielowi.

- Gdzie?

- Jedna w czoło, druga za ucho. Tak jest najskuteczniej.
- Nie. Pytałem, gdzie jest ten dom?
- To też jest ściśle tajne. Ale podejrzewam, że gdzieś za granicą. Wiarygodne źródła twierdzą, że w nazwie tego miasta jest od groma spółgłosek. I prawie nie ma samogłosek. A potem ktoś powtórzył to w innym domu. Następnej nocy. Z równie

słusznych powodów. Dlatego można by się spodziewać, że w nagrodę facet dostanie coś więcej niż to. Choćby nowy przydział. Może nawet prawo wyboru kolejnej misji.

– Właśnie – zgodził się z nim White. – A ja na pewno nie wybrałbym tego, tylko coś związanego z tym, czym powinienem się teraz zajmować.

– Coś ambitniejszego.

– Otóż to.

– Typowe. W nagrodę chcemy dostać coś ambitnego, nowe wyzwanie. A nie bzdurną łatwiznę. Chcemy awansować.

– Oczywiście.

– Może jednak awansowaliśmy – myślał na głos Reacher.

– O coś was zapytam. Przypomnijcie sobie chwilę, kiedy dostaliście rozkaz wyjazdu. Czy przekazano wam go ustnie, twarzą w twarz, czy na piśmie?

– Twarzą w twarz – odparł White. – Takich rzeczy nie robi się inaczej.

– Czy w pokoju był ktoś trzeci?

– Tak. To było poniżające. Sekretarka z administracji z plikiem dokumentów. Kazał jej zostać. Stała tam i czekała.

Reacher spojrzał na Watermana.

– U mnie tak samo – powiedział agent. – Kazał zostać sekretarce. Normalnie by tego nie zrobił. Skąd pan wiedział?

– Bo u mnie było identycznie. Kazał zostać w pokoju sierżantowi. Jakby chciał mieć świadka. Świadek... o to właśnie chodziło. O pocztę pantoflową. Podoficerowie gadają, plotkują. W ciągu kilku sekund wszyscy dowiedzieli się, że nigdzie mnie nie wysyłają. Że jadę na jakiś głupi kurs o głupiej nazwie. Natychmiast przestałem ich interesować. Zniknąłem z radaru. Jestem przekonany, że wiadomość się już rozeszła. Jestem nikim. Zniknąłem w biurokratycznej mgle. Wy pewnie też. Może wasze sekretarki też mają pocztę pantoflową. Jeśli tak, staliśmy się najbardziej niewidzialnymi ludźmi na ziemi. Nikt o nas nie pyta. Nikogo nie interesujemy. Nikt nas już nawet nie pamięta. Szkołka? Nie można trafić do nudniejszego miejsca.

– Dobrze – rzucił White. – Twierdzi pan, że usunęli z radarów trzech niezwiązanych ze sobą, lecz w pełni aktywnych

agentów. Po co?

– Z radarów to mało – odparł Reacher. – Siedzimy w klasie. Jesteśmy kompletnie niewidzialni.

– Ale dlaczego? Dlaczego akurat nas trzech? Co nas łączy?

– Nie wiem. Ale jestem pewien, że chodzi o coś ambitnego. Może o coś, co trzech dobrych agentów może uznać za zadowalającą nagrodę za dotychczasową służbę.

– Gdzie my właściwie trafiliśmy?

– Nie mam pojęcia – powiedział Reacher. – Ale to nie jest szkoła. Tego jestem pewny.

• • •

Punktualnie o piątej z głównej drogi zjechały dwa czarne vany. Skręciły za sięgającą kolan tabliczką i zaparkowały za chevroletami, prostopadle do trawnika, jak dwie ciężkie barykady. Wsiadło z nich czterech mężczyzn w garniturach. Agenci Secret Service albo U.S. Marshals, szeryfowie policji federalnej. Rozejrzeli się szybko, skinęli głowami na znak, że teren jest czysty, i otworzyli drzwi vanów.

Z drugiego wysiadła kobieta. W jednej ręce miała dyplomatkę, w drugiej plik dokumentów. Była w eleganckiej czarnej sukience. Do kolan. Takiej, co to może mieć podwójne zastosowanie: za dnia noszona z perłami w zacisznym gabinecie na ostatnim piętrze luksusowego wieżowca, a wieczorem, już z brylantami, na koktajlu czy przyjęciu. Kobieta była starsza od Reachera, dziesięć lat, może nawet więcej. Na pewno przekroczyła czterdziestkę, ale świetnie się trzymała. Miała jasne włosy średniej długości, bezpretensjonalnie ułożone i na pewno przeczesane ręką. Była wyższa od przeciętnej kobiety, lecz nie szersza. Robiła wrażenie bystrej i rozgarniętej.

Z drugiego vana wysiadł mężczyzna, którego Reacher natychmiast rozpoznał. Jego twarz ukazywała się w gazetach co najmniej raz w tygodniu, dużo częściej w telewizji, gdzie – ze względu na zajmowane stanowisko – królował nie tylko w głównym materiale filmowym, ale i w licznych przebitkach z obrad gabinetowych oraz gorących narad roboczych w Gabinetie Ovalnym. Był to Alfred Ratcliffe, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Specjalista od rzeczy, które

mogą się źle skończyć. Prawa ręka prezydenta. Jego zausznik. Krążyły plotki, że zbliża się do siedemdziesiątki, ale wyglądał dużo młodziej. Jako niedobitek ze starego Departamentu Stanu, ocalał mimo zmieniających się wiatrów, to wpadając w łaski nowych szefów, to z nich wypadając, ale ponieważ miał twardy kręgosłup, wytrwał w walce na tyle długo, by załatwić sobie najlepszą pracę ze wszystkich możliwych.

Kobieta dołączyła do niego i otoczeni przez czterech agentów w garniturach ruszyli do wejścia. Reacher słyszał, jak otwierają się drzwi, potem dobiegły kroki z korytarza, w końcu cała czwórka weszła do klasy, przodem dwóch agentów, którzy od razu stanęli pod tablicą, a za nimi Ratcliffe i kobieta w sukience. Ci dotarli do tablicy i nie mając już dokąd iść, zatrzymali się i odwrócili przodem do klasy, dokładnie jak nauczyciel przed rozpoczęciem lekcji.

Ratcliffe spojrzał na White'a, potem na Watermana, jeszcze potem na siedzącego na końcu Reachera. W końcu powiedział:

– Panowie, to nie jest szkoła.

2

Kobieta z godnością przykucnęła i położyła na podłodze dyplomatkę i plik papierów. Ratcliffe zrobił krok do przodu.

– Ściągnięto was tu pod fałszywym pretekstem. Nie chcieliśmy rozgłosu. Celowo wprowadziliśmy was w błąd, bo uznaliśmy, że lepsza będzie mała zmyłka. Dyskrecja przede wszystkim, przynajmniej na początku.

Zrobił dramatyczną pauzę, jakby czekał na pytania, ale żadne nie padło. Nikt nie spytał nawet: na początku czego? Lepiej wysłuchać wszystkiego do końca. Tak zawsze bezpieczniej, zwłaszcza jeśli rozkazy przychodzą z samej góry.

– Czy któryś z panów – ciągnął Ratcliffe – może opisać prostą angielszczyzną politykę bezpieczeństwa narodowego obecnej administracji?

Nikt nie odpowiedział.

– Dlaczego panowie milczą?

Waterman ukrył się za długim na sto kilometrów spojrzeniem, a White wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że ogrom i złożoność problemu wyklucza użycie zwyczajnego języka, zresztą czy pojęcia prostoty i zwyczajności nie są przypadkiem subiektywne i jako takie nie wymagają wstępnej dyskusji celem ustalenia właściwej definicji wyjściowej?

– Podstępne pytanie – rzucił Reacher.

– Twierdzi pan, że naszej polityki nie da się opisać prostymi słowami?

– Twierdzę, że ta polityka w ogóle nie istnieje.

– Uważa pan, że jesteśmy niekompetentni?

– Nie, ale uważam, że świat się zmienia. Lepiej zachować

elastyczność.

– To pan jest z żandarmerii?

– Tak jest.

Ratcliffe zrobił kolejną pauzę i powiedział.

– Niewiele ponad trzy lata temu w garażu nowojorskiego drapacza chmur wybuchła bomba. Wielka tragedia osobista rannych i rodzin zabitych, to oczywiste, ale z globalnego punktu widzenia sprawa stosunkowo małej wagi. Tylko że zaraz po wybuchu świat oszalał. Im uważniej się temu przyglądaliśmy, tym mniej z tego rozumieliśmy. Najwyraźniej wszędzie mieliśmy wrogów, ale nie byliśmy pewni, kim ci ludzie są, gdzie są, dlaczego w ogóle są, co ich łączy, czego chcą, no i oczywiście, co jeszcze szykują. Byliśmy w szczerym połu. Ale przynajmniej otwarcie to sobie powiedzieliśmy. Dlatego nie traciliśmy czasu na opracowywanie strategii działania wymierzonej w coś, o czym nawet nie słyszeliśmy. Uznaliśmy, że stworzyłoby to fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Tak więc w chwili obecnej naszą standardową procedurą jest bieganie w kółko, jakby się paliło i waliło, i załatwianie dziesięciu problemów naraz, w miarę jak powstają. Uganiamy się za wszystkim, ponieważ musimy. Za trzy lata z małym kawałkiem rozpocznie się nowe milenium. Stolice wszystkich krajów świata będą świętowały dwadzieścia cztery godziny na dobę, co znaczy, że dzień ten będzie największym propagandowym celem w historii naszej planety. Musimy wiedzieć, co ci ludzie knują, żeby ich wyprzedzić. Ich wszystkich. Dlatego niczego nie lekceważymy.

Nikt się nie odezwał.

– Nie chodzi o to, że chcę się przed wami usprawiedliwiać – kontynuował Ratcliffe. – Musicie jednak zrozumieć teorię. Niczego nie zakładamy, ale poruszymy niebo i ziemię, zajrzemy pod każdy kamień.

Nikt o nic nie spytał. Nawet o to, czy każą im zajrzeć pod jakiś konkretny głaz. Lepiej jest nie odzywać się niepytanym. I po prostu zaczekać.

Ratcliffe spojrzał na towarzyszącą mu kobietę.

– To jest doktor Marian Sinclair, moja zastępczyni. Dokończą odprawę. Popieram każde jej słowo, a tym samym

popiera je prezydent. Powtarzam: każde słowo. Może to kompletna strata czasu i do niczego nie dojdziemy, ale dopóki nie wyłowimy czegoś konkretnego, każdy pomysł ma jednakowy priorytet. Nie będziemy szczeni sił ani środków. Dostaniecie wszystko, czego zażądacie.

Odwrócił się i między dwoma ochroniarzami ruszył do drzwi. Słuchać było, jak idą korytarzem, potem zawarczał silnik vana i odjechali. Doktor Sinclair – silne ręce, ciemne nylony i eleganckie szpilki – obróciła pierwszą ławkę przodem do nich, usiadła, założyła nogę na nogę i rzuciła:

– Proszę bliżej.

Reacher przesiadł się do trzeciego rzędu i wcisnął do ławki. Siedzieli we trzech, patrząc wyczekująco na Sinclair. Miała szczerą, otwartą twarz ściągniętą przez stres i niepokój. Działo się coś poważnego. To było jasne. Może Garber coś mu jednak podpowiedział? *Widzę, że nie jest pan zadowolony. A powinien pan się cieszyć.* Może nie wszystko stracone. White doszedł chyba do tego samego wniosku, bo pochylił się do przodu i przestał strzelać oczami. Waterman zastygł bez ruchu. Znowu oszczędzał energię.

– W Hamburgu – zaczęła Sinclair – jest pewne mieszkanie. W eleganckiej dzielnicy, w miarę centralnie położonej i bardzo drogiej, choć trochę korporacyjnej i z dużą fluktuacją mieszkańców. Od roku wspomniane mieszkanie wynajmuje czterech mężczyzn w wieku dwudziestu kilku lat. Nie są Niemcami. Trzech to Saudyjczycy, czwarty jest Irańczykiem. Wszyscy czterej robią wrażenie bardzo zlaicyzowanych. Są ogoleni, dobrze ubrani, mają krótkie włosy. Bardzo lubią koszulki polo w pastelowych kolorach, z krokodylkiem na piersi. Noszą złote rolexy i włoskie buty. Jeżdżą bmw i bywają w nocnych klubach. Ale nigdzie nie pracują.

White lekko kiwnął głową, jakby dobrze takie sytuacje znał. Waterman nie zareagował.

– Wśród miejscowych uchodzą za podrzędnych playboyów. Niewykluczone, że są dalekimi krewnymi bogatych i wpływowych rodzin i przyjechali do Hamburga, żeby się wyszumieć przed powrotem do kraju i podjęciem pracy w ministerstwie petrochemii. Innymi słowy, typowe eurośmieci.

Rzecz w tym, że tak nie jest. Odkryliśmy, że zostali zwerbowani przez nowo powstałą organizację, o której niewiele jeszcze wiemy. Jest bogata, mocno dżihadystyczna, paramilitarna w metodach szkolenia i obojętna na pochodzenie narodowe swoich członków. Saudyjczycy współpracujący z Irańczykami? To niezwykle, a jednak tak jest. Tych czterech wyrobiło sobie dobrą opinię w obozach szkoleniowych i rok temu przysłano ich do Hamburga. Mieli zakorzenić się na Zachodzie, spokojnie żyć i czekać na dalsze rozkazy, których jak dotąd nie otrzymali. Innymi słowy, są klasycznymi „špiochami”.

Waterman poruszył się w ławce.

– Skąd o tym wiemy?

– Irańczyk jest naszym człowiekiem – odparła Sinclair.

– Podwójnym agentem. CIA prowadzi go z hamburskiego konsulatu.

– Odważny chłopak.

Kiwnęła głową.

– A dzisiaj o takich trudno. Świat się zmienił. Kiedyś nasze ambasady nie mogły opędzić się od chętnych. Przychodzili, pisali błagalne listy. Niektórych odsyłaliśmy z kwitkiem. To były jednak stare komunistyczne czasy i starzy komuniści. Teraz potrzebujemy młodych Arabów, a tacy do nas nie przychodzą.

– Ale po co my? – spytał Waterman. – Sytuacja jest stabilna. Oni nigdzie nie uciekną. Jeśli dostaną rozkaz uaktywnienia się, wy dostaniecie go chwilę później. Zakładając, że centrala w konsulacie pełni całodobowy dyżur.

Lepiej wysłuchać wszystkiego do końca.

– Tak, sytuacja jest stabilna – potwierdziła Sinclair. – Nic się tam dotąd nie działo. Lecz nagle coś się wydarzyło. Kilka dni temu. Doszło do małego zgrzytu. Ktoś ich odwiedził.

• • •

Za jej sugestią przenieśli się do biura. Uznała, że w klasie jest niewygodnie ze względu na ławki, i rzeczywiście było, zwłaszcza dla Reachera. Miał metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, ważył sto trzynaście kilo i bardziej trzymał ławkę na sobie, niż w niej siedział. W przeciwieństwie do klasy, w biurze

był stół konferencyjny i cztery skórzane fotele z rozkładanymi podnóżkami. Znacznie większy poziom komfortu, o czym Sinclair najwyraźniej wiedziała. Nic dziwnego. Pewnie sama ten obiekt wynajęła, prawdopodobnie poprzedniego dnia, a jeśli nie ona, to jej zastępca. Trzy pokoje i cztery fotele na odprawy.

Mężczyźni w garniturach zostali na korytarzu, a ona kontynuowała:

– Przesłuchaliśmy Irańczyka. Wypyaliśmy go o najdrobniejsze szczegóły i uważamy, że wyciągnął dobre wnioski. Ich gościem był kolejny Saudyjczyk. Mężczyzna w ich wieku. Podobnie ubrany. Modowa szampa: krótkie włosy, złoty łańcuch na szyi, krokodylek na koszulce. Nie spodziewali się go. Byli bardzo zaskoczeni. Ale oni są pod pewnym względem jak mafia: w razie potrzeby wtajemniczeni mogą zwrócić się do nich z prośbą o przysługę. Saudyjczyk się na to powołał. Okazało się, że jest kurierem, posłańcem. Nie miał z nimi nic wspólnego. Zajmował się zupełnie czym innym. Po prostu przyjechał do Niemiec i potrzebował bezpiecznej kryjówki. Kurierzy tak wolą. W hotelu zostawiliby ślady. Są na tym punkcie przewrażliwieni, ponieważ nowe siatki mają bardzo duże oczka. Duże oczka to duże utrudnienia w łączności, przynajmniej teoretycznie. Myślą, że podsłuchujemy ich komórki, i pewnie podsłuchujemy, myślą, że czytamy ich e-maile, i pewnie wkrótce będziemy to robić, wiedzą, że otwieramy nad parą ich listy. Dlatego wykorzystują kurierów. Ale ci kurierzy nie noszą walizeczek przykutych łańcuchem do ręki. Przenoszą w głowie pytania i odpowiedzi. Pytanie, odpowiedź, pytanie, odpowiedź: jeżdżą tam i z powrotem, z kontynentu na kontynent. To sposób bardzo powolny, lecz całkowicie bezpieczny. Żadnych śladów elektronicznych, żadnych notatek czy listów, nic, tylko mężczyzna ze złotym łańcuchem na szyi, który skacze z lotniska na lotnisko wraz z milionem takich samych jak on.

– Czy Hamburg był jego punktem docelowym? – spytał White. – Czy tylko się tam przesiadał i jechał gdzieś dalej, w głąb Niemiec?

– Miał coś do załatwienia w Hamburgu – odparła Sinclair.

- Ale nie z chłopakami w łańcuchach.
- Nie, z kimś innym.
- Wiadomo, kto go przysłał? Zakładamy, że ci z Afganistanu i Jemenu?

- Jesteśmy przekonani, że tak. Ze względu na kolejny zbieg okoliczności.

- Jaki? – spytał Waterman.

- Posłaniec znał jednego z Saudyjczyków. Statystycznie rzecz biorąc, nie jest to przypadek zbyt niezwykły, ponieważ spędzili trzy miesiące w Jemenie, wspinając się po linach i strzelając z kałasznikowów. Świat jest mały. Dlatego odbyli krótką rozmowę, a nasz Irańczyk próbował ich podsłuchać.

- Dużo usłyszał?

- Posłaniec czekał na spotkanie, do którego miało dojść dwa dni później. Nie powiedział gdzie, a przynajmniej Irańczyk tego nie słyszał, jednak z kontekstu wynikało, że w miarę blisko. Nie przywoził żadnej wiadomości. Miał wiadomość odebrać. Według Irańczyka, coś w rodzaju oświadczenia. Wstępnej deklaracji. Twierdzi, że tak wynikało z rozmowy. Posłaniec miał jej wysłuchać i zapamiętać.

- Początek negocjacji. Licytacja. Pierwsza odzywka.

Sinclair kiwnęła głową.

- Dlatego spodziewamy się, że Saudyjczyk wróci. Przyjedzie co najmniej raz z odpowiedzią. Tak lub nie.

- Domyślamy się, o co chodzi? – spytał White.

- Nie. Ale to coś ważnego. Irańczyk jest tego pewny, ponieważ posłaniec należał do elity bojowników, tak jak on. Musiał zdobyć uznanie przełożonych, bo skąd miałby koszulki polo, włoskie buty i cztery paszporty? Nie należał do tych, których wykorzystują małe rybki na obu końcach łańcucha pokarmowego. Był posłańcem kogoś z góry, najważniejszych szefów.

- Doszło do spotkania? – dążył Waterman.

- Tak, wczesnym wieczorem drugiego dnia. Saudyjczyk wyszedł na pięćdziesiąt minut.

- A potem?

- Wyjechał. Nazajutrz rano.

- Nie było już żadnych rozmów?

– Tylko jedna. Zato bardzo ciekawa. Saudyjczyk się wygadał. Nie wytrzymał. Powiedział przyjacielowi, co mu przekazano. Ot tak, po prostu. Nie mógł się powstrzymać. Pewnie dlatego, że zrobiło to na nim wrażenie. Sama skala, ogrom kontraktu. Irańczyk mówi, że był bardzo podekscytowany. Pamiętajcie, ci mężczyźni mają po dwadzieścia kilka lat.

– Co takiego powiedział?

– To było otwarcie negocjacji. Propozycja wstępna. Tak jak zakładał Irańczyk. Krótka i na temat.

– To znaczy?

– Amerykanin chce sto milionów dolarów.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).